



FARMA FRANC. CHMIELEWSKIEGO WHITE STONE.



WÓZ Z JARZYNAMI FRANC. CHMIELEWSKIEGO.

bą jeszcze olbrzymie pole w Stanach, gdzie leżą obszary nietknięte prawie, a nawet w nadatlantycznych stanach godzinami jedzie się przez niezaludnione tereny.

Rząd waszyngtoński rozumie dobrze potrzebę kierowania imigracyi na rolę, ale sterowany obecnie przez wielkich przemysłowców nie kładzie dostatecznego nacisku na tę sprawę. Ostatnimi dopiero czasy ministerium pracy wydaje w kilku językach „Wiadomości Rolnicze“ o warunkach pracy na roli w różnych stanach. Z wiadomości tych wynika, że wszystkie stany są idealne do rolnictwa. Jest w tem niewątpliwie dużo przesady, ale jednak ci, co poszli na rolę przed 15—20 laty, stanęli świetnie.

Zwiedzałem farmy polskie na Long Island pod N. Yorkiem. Wprawdzie to wymarzony punkt, bo 5 milionowe miasto zakupi wszystko, co okolica wyprodukuje, ale bardzo ciekawe zastałem tam warunki.

Najbogatszy farmer Franciszek Chmielewski w White Stone pod Flushing, najstarszą osadą holenderską na Long Island, rodem jest ze wsi Żate w Rypińskim. Z zawodu jest kowalem, ale gdy lat temu dwadzieścia cztery przybył do Ameryki, nie mogąc znaleźć innego zajęcia, pracował u farmera Niemca. „To mi się jeno przykrzyło, że szelma Niemiec kazał nam i w niedzielę robić“. Wyszukał więc sobie kowalstwa, a grosz ciułał, bo siedział w nim rypiński rolnik z nad jeziora.

Po kilku latach wydzierżawił farmę i rozpoczął gospodarke rypińską: nasiał owsa, trochę gryki, wykę, nasadził kartofli, jak w Żatem. Żył—żył, ale to nie był „business“.

Miał trochę swego, trochę wziął od brata, trochę dopyczył i nabył już na siebie kawałek gruntu pod Brocklynem. Tu już przeszedł na gospodarstwo warzywne. Te popłacają naj-

lepiej na wiosnę. Trzeba nabyć okna inspektorowe, a ma ów Chmielewski taką pocztową rypińską minę i takie srogie rude wąsiska i takie zacne, czyste, błękitne, uczciwe oczy, że mu Amerykanin dał 1000 okien na kredyt. Za rok okna były spłacone, a Amerykanin dał drugi tysiąc okien.

Dopiero teraz zaczęła się gospodarka warzywna na różne nowalijki; cztery, pięć razy do roku obróci się zbiór na tej samej ziemi: skończą się rzodkiewki, sałaty, idzie szpinak, po nim pomidory, ogórki, po nich jarmuż i różne inne jarzyny.

Brooklyn rosi, wydłużał się, sięgnął aż po farmę. Z dużym zyskiem sprzedał swój grunt Chmielewski pod miasto, a sam wyniósł się na Long Island, gdzie go liczą dziś na 80.00 dolarów. Po 20 ludzi pracuje na farmie, 8.000 rubli płaci za nawozy sztuczne, po 200 rubli kwartalnie płaci za wodę do polewania swego ogrodu, ale też cztery razy na tydzień jedzie wóz, na wysokość piętra wyładowany jarzynami, a taki przynosi często 400 rubli, choć pono czasem i 15 r. zależnie od dowozu.

Robotników ma przeważnie Polaków; dostają po 18—20 dolarów miesięcznie, mieszkanie i żywność pięć razy dziennie.

Chmielewski sam pracuje i sam z wozem jeździ do N. Yorku, odległego o 4 godziny drogi. Krowy, trzodę, drób chowa tylko na swoją potrzebę. Owoców ani kwiatów nie hoduje. Kwiatowe farmy na Long Island mają przeważnie Francuzi.

Sąsiad i kum Chmielewskiego, Gołębiowski, też rodem z Płockiego. Był 2 tygodnie w terminie u szewca. Przez ten czas nosił tylko wodę z Wisły na Tumską górę i chodził „z panią“ na targ, a jeść mu dawano w miseczce—wszystko—razem do sieni.

Dziś dzierżawi na Long Island farmę,